

nowa
proza
polska

Warunek

EuStaCHy RyLSki



Projekt graficzny serii
Małgorzata Karkowska

Ilustracja na okładce
obraz René Magritte'a

Redaktor serii
Paweł Szwed

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Mirosław Grabowski

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Elżbieta Jaroszuk

Copyright © by Eustachy Ryłski, 2005
Copyright © by Bertelsmann Media Sp. z o.o., 2005

Świat Książki
Warszawa 2005
Bertelsmann Media Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1936-5
Nr 45002

Część pierwsza

ARANCEWO

1

Jesienny świt na pustej, odkrytej przestrzeni, poprzecianej brzoźowymi zagajnikami. Z wilgotnych oparów mgły wyłoniła się szpica szwadronu idąca stępą. Kilkunastu jeźdźców w nieuporządkowanym szyku, prowadzonych przez młodego oficera o brawurowej urodzie, przygazzonej tylko nieco zmęczeniem, jakie niesie wojna.

Szpica przeszła strumień, wspięła się na niewielkie obłe wzniesienie, minęła brzezinę upstrzoną tu i ówdzie rachitycznymi sosenkami.

Mgła, jak to jesienią, nie uniosła się, lecz melancholijnie rozsnuła, pograżając wszystko w zimnej, przejmującej zawieszynie.

Oficer uderzał od czasu do czasu otwartą dłonią w rekojeść przytroczonej do siodła szabli, ścigał wodze w lewo lub w prawo, toczył koniem w tę i tamtą, zrywał go lub powstrzymywał, okręzał szpicę krótkimi łukami z jednej lub drugiej strony, wybijając ją z rytmu.

Był niespokojny, a w obsesyjnych, nerwowych gestach czuło się nastrój, który poprzedza czasami wybuch niekontrolowanego gniewu lub furii. Reszta kawalerzystów starała się nie zwracać na to uwagi, choć pokora, z jaką przyjmowali kaprysy młodego jeźdźcy, zaświadczała o jego niekwestionowanej pozycji w oddziale.

Następne obłe wzniesienie wyniosło szpicę ponad mgłę,

a gdy pozostawili ją za zadami swych koni, z oparów wyłonił się kolejny oddział, liczniejszy od pierwszego, z którego wysforował się samotny jeździec w miękkim, rozkolebanym galopie.

Doszedł szpicę i zawrzasał:

– Raaangułt! Do diabła, Rangułt!

Wywołany syknął coś przez zaciśnięte usta. Strzelił otwartą dłonią w głównię szabli, aż zagrzechotały kostki palców.

Jeździec obserwował to w napięciu, którego nie starał się ukryć. Zbliżył się do Rangułta i rzekł, zaglądając mu w twarz:

– Dziwny kraj.

– Mgła – odpowiedział Rangułt, zrywając konia trzy, cztery kroki w przód.

– Dziwna mgła! – wykrzyknął jeździec, zrównując się z Rangułtem.

– Idź precz, Rudzki! – odpowiedział Rangułt i wyrwał znów kilka kroków przed siebie.

– Dziwny kraj i dziwna mgła – Rudzki znów go doszedł.

– Powiedziałem: idź precz!

– Gotujesz się, graf?

– Jak widać.

– Ano ochłodzę, jeżeli łaska...

Najechali teraz na siebie obydwoj. Któryś z koni przysiadł na zadzie. Kłęb przy kłębie, strzemię przy strzemieniu, bark przy barku. Naparli. Nie ustąpił żaden. Rzecz zawisa między żartem a powagą, swawolą a złością, zniechęceniem a determinacją. Przechylić się może w tę i tamtą.

Z oddali, z mgły chłodnej, wystrzał jak uderzenie dłoni w dłoń. Potem zbliżający się, oddalający i znów zbliżający tętent koni i krótka, gęsta kanonada. I cisza jak śmierć.

Rangułt i Rudzki w pełnym galopie. Na równi między

brzezinami szwadron rozciągnięty w poprzek. Na darni kilka nieruchomych ciał w baranicach wyrzuconych futrem do góry. Oszalały koń. Porzucona skałkowa strzelba. Konający szwoleżer z odrąbanym barkiem. Kozak w konwulsjach nawleczony na lancę. Na krzaku ostnicy zakrwawiona papacha.

Rangułt przejechał wśród poległych. Nasycił oczy śmiercią. Obrócił się w siodle i spojrzął za siebie na skulone ciało nakryte podróżną sakwą, wciśnięte w jałowiec.

– Jak dziecko – rzekł łagodnie, przypatrując się poległemu.

Dojechał Rudzki. Nie zsiadając z konia, trącił końcem szabli leżącego i dodał:

– Gotów!

Wychylił się z siodła, klingą zahaczył sakwę i podniósł w górę. Poległy machinalnie, jak dzieje się to czasami we śnie, przytrzymał ją.

Oficerowie odskoczyli.

Leżący mężczyzna powoli rozprostował nogi i wsparł się na ramieniu. Popatrzył przed siebie przytomniejącym wzrokiem. Powstał ostrożnie, nie wypuszczając sakwy. Rozejrzał się. Zakołysał. Wolną ręką obmacał sobie twarz, głowę i członki. Odwrócił się od oficerów i zwymiotował. Podjechali inni. Szwadron zwinął krańce i otoczył mężczyznę, który dawał sobie folgę długo i namiętnie. Kończąc, uczynił taki ruch, jakby zamierzał otrzeć się rękawem, lecz zmitsygował się, zgłębiając przepastne kieszenie kurtki. Rangułt pochylił się nad końskim karkiem i podał mężczyźnie nieskazitelnie czystą białą chustkę, ozdobioną złotym monogramem. Jak gdyby nie z tego świata.

Mężczyzna odebrał ją po chwili. Wytarł wargi, twarz, ręce i chciał zwrócić chustkę Rangułtowi, ale dostrzegając niestosowność tego gestu, po krótkim namyśle schował ją do sakwy.

Wyprostował się, obciążając na sobie mundur.

– Z kim mamy zaszczyt? – zapytał Rangułt, dostojniejąc w siodle.

– Porucznik Semen Hoszowski z kwatery wodza naczelnego – odpowiedział mężczyzna.

– Do kogo?

– Do drugiego inspektora kawalerii, generała Lamonta.

– Lamont o pół dnia. Leża w Arancewie.

– Tam mam adres.

– W takim razie prosimy z nami. Szwadron siódmy, kompania pierwsza, gwardia, Andrzej Rangułt, kapitan.

– Jestem zobowiązany – powiedział Hoszowski, próbując wyjść z pierścienia otaczających go jeźdźców. – Koń padł mi pod Wiereją, drugi nieopodal. Ścigali mnie kilka wiorst. Pańscy żołnierze uratowali mi życie.

Rangułt spiął klacz, rozerwał pierścień i krzyknął wachmistrzowi w twarz:

– Kulbaka dla porucznika Hoszowskiego!

Szwadron ruszył zwartym szykiem. Zza horyzontu wstało blade jesienne słońce. Nastął dzień bez blasku.

2

Kraj dziwny nie był, Rudzki się mylił. Nic w nim nie było w rzeczy samej dziwnego, bo nic w zanadru, wszystko jak na dłoni, żadnej tajemnicy. Jak jar, to jar. Jak błoto, to błoto. Jak mgła, to mgła. Przeszywające na wylot wczesne zimno. Od miesiąca nieustępujące deszcze. Równina wdeptująca w ziemię, monotonia wręcz nie do zniesienia, sekwencje długie jak choroba.

Kraj, który się sprzysiągł w złej sprawie.

Niby bezludny, pusty, ale niechby tylko co. Niby obo-

jętny, lecz gotów na wszystko. Niby otwarty, chciałoby się rzec, na oścież, ale jednocześnie przyczajony jak dzikie zwierzę.

A gdzie ludzie, tam bezwstydy, demonstracyjny gwałt na wszystkim, co żyje i nie żyje.

Zresztą różnica między jednym a drugim niewielka. Widi się przed sobą życie, przejeżdża się, odwraca głowę, a tam już po życiu. Jakby minęło, bez skargi, w zgodzie na własną nietrwałość wobec bezmiaru.

Od czasu do czasu, jak pułapka, pozory dobroduszości. Jakiś pokłon do ziemi, jakiś uśmiech, ciepły gest, ujmująca za serce fraza, ale nie daj Bóg się na to nabrać, uwierzyć.

Kraj, który jak zechce, to zamęczy każdego na śmierć, a jak odpuści, to zdarzy się to samo z siebie. W tym względzie nieodpowiadający za żadnego ze swoich demonów, bo co by nie było i jak by nie poszło, wykupiony będzie od winy swoją bezgranicznością, swoim nieodłącznym bezwładem. Wchodzi się weń łatwiej niż w każdy inny, ale z upływem czasu zapada głębiej, aż nieruchomieje się na amen. Przykre, nieubłagane, dosadne, prostackie, lecz nie dziwne.

Rudzki się więc mylił, kiedy w opuszczonym pałacu książąt Rohatyńskich, na przedpolach stolicy, po raz trzeci rzekł Rangułtowi:

– Zaiste, dziwny kraj, graf.

Popołudnie pochłaniał zmierzch.

Żołnierze karmili konie, rozlokowując je w opuszczonych stajniach, rąbali drzewa z pobliskiego parku, ustawiali karabinki w kozły, grzejąc się przy rozpalonych wokół ogniskach, przecierali szable, ostrzyli lance, pociągali gorzałę. Rozkazy, żarty, śmiech, przekleństwa, nieco leniwa krzątania. Odwieczny rytuał rozlokowującego się wojska w podbitym kraju. Rangułt przypatrywał się temu

jak zza szyby, stąpając ostrożnie i bezmyślnie, przystając przy jeźdźcach, przysłuchując się ich gadaniu.

Z pałacowych schodów obserwował go porucznik Semen Hoszowski, człowiek jeszcze niestary, krótki, rozrosnięty, w ruchach przyuczony, z jednej strony wyostrzony jak brzytwa, z drugiej tępy jak chłopski lemiesz, a pośrodku mroczny jak noc.

Musiał zauważyć, jak do Rangułta podszedł wiotki oficer o długich słomianych włosach, wymykających się na twarz spod skórzanej czapki. W geście, z jakim zwrócił się do kapitana, w słowach, których Hoszowski nie usłyszał, we wzroku, badającym atletyczną sylwetkę dowódcy, były podziw, cierpliwość i szorstka czułość.

Rangułt wzdrygnął się. Jego proste plecy przeszedł dreszcz za dreszczem. Uśmiechnął się martwo do wiotkiego oficera. Ruszyli ku uzbrojonemu w stal wejściu.

Hoszowski zszedł im z drogi. Kierując się do jednej z oficyn, minął wachmistrza od kulbaki, który przy pomocy kilku żołnierzy rozłupywał toporkiem grube na dłoń drzwi do jednej z piwnic. Kątem oka zauważył, jak obydwaj mężczyźni zginęli w ciemnościach opustoszałego pałacu.

3

Trzech kwadransów trzeba było, aby z rozległego salonu z widocznymi śladami przepychu wymieść chłód i wilgoć. W przepastnym kominku ozdobionym antyczną alegorią paliły się żywo pałacowe meble. Rangułt grzał nimi plecy. Towarzyszyło mu trzech podkomendnych, oficerów kompanów. Mizernych, wychudzonych, brudnych. Oczy mieli podbite, twarze blade, ściągnięte, emanujące jednak, mimo zmęczenia, pewnością siebie i tym rodza-

jem impertynenckiej brawury, która pozwala określić ich mianem nieodrodných synów wojny.

Najstarszy z nich, Rudzki, niewysoki, barczysty, kawaleryjski, naznaczony malowniczą blizną od czoła do żuchwy, bawił się pistoletem, wyciągnięty w jednym z ocalałych foteli. Mierzył tu i tam, udanie imitując palbę. Jego fizycznym przeciwieństwem był Wolanin, wiotki młodzieniec o słomianych włosach spadających na czoło. Z założonymi do tyłu rękoma kręcił się po salonie, wyciągając zuchowatym tenorem:

*Zapredała kukuryka za dudu,
Zapredała kukuryka za dudu.*

Niedźwiedziowaty Dreszer, ozdobiony sumiastym wąsem, cały z waszecia, dusza człowiek, co to jednym uderzeniem pięści rozłupie czaszkę, pocziwiec szczujący zapewne starozakonnych ogarami, po sumie jednakowoż, mimo wychudzenia pleczysty i dupiasty, toczył kości po wyłożonym czeczotką stoliku.

Z zewnątrz słycać było komendy rozprawdzanych wart i rzenie koni. Od czasu do czasu snop iskiei wyskakiwał nad płomień w kominku, zbaczał, rozpryskiwał się i ginął gdzieś w szarościach sufitu.

Dreszer zgarnął kości i poustawiał je w rzędzie wedle starszeństwa. Zwrócił się do Wolanina:

– Nie znasz jakiej innej piosenki, Ksawer?

– Nie rozumiem? – Wolanin zatrzymał się jak wryty. – Jakiej innej?

– Chodzi mi o to, Ksawer, że historia koguta, którego sprzedano na targu w Winnicy, już nam się trochę przejadła i, nie obraż się, dokuczyła. Nieprawdaż, Rudzki?

Rudzki przeniósł dłoń z pistoletem na chłopięcą postać Wolanina.

– Chcecie mnie z tego powodu zastrzelić? – Wolanin zajrzał w głąb wycelowanej w niego lufy.

– Nie ciebie – odpowiedział mu Rudzki – tylko to przekłete ptaszysko, o którym śpiewasz do znudzenia.

Nagle uniósł rękę ponad głowę chłopca i nie mierząc, pociągnął za spust. Łoskot wystrzału zmieszał się z kruchym uderzeniem stiuku o marmurową posadzkę.

– Mniej więcej tak – wyjaśnił Rudzki.

Kapitan Rangułt wyprostował się i wyrwany z ośpienia spojrzął za siebie.

Z lufy pistoletu wysnuło się pasemko dymu.

– To nie jest historia o kogucie – wyjaśnił Wolanin, otrzepując mundur z tynku.

– A o czym? – zapytał Dreszer.

– O dziewczynie. Zniosła koguta na targ i sprzedała za parę groszy, żeby kupić sobie chustkę.

– Ładna?

– Chustka?

– Nie, dziewczyna.

– Ładniejszej nie widziałeś, Dreszer.

Rudzki zawrzasnął, ponownie nabijając pistolet:

– Do diabła! Panowie! Kiedy ja ostatni raz dziewczynę widziałem? Jakąkolwiek!

Dreszer wrócił do kości. Rudzki znów zajął się celowaniem z pistoletu, a Wolanin piosenką.

Płomień w kominku pochłaniał kolejne meble, deszcz sphywał szybkoami angielskich okien, wiatr pohukiwał w kominie. Rangułta rozbierała gorączka, Dreszera senność, Rudzkiego niecierpliwość. Wszystko znalazło własną przynależność. Ciszę przerwał następny wystrzał i łoskot osypującego się lustra. Kapitan Rangułt w dwóch susach przesadził stół i odległość, jaka dzieliła go od fotela pod ścianą. Rudzki wstać nie zdążył, kiedy Rangułt chwycił go długimi palcami za gardło i poderwał z mebla.

– Słuchaj, ty... ścierwo! – zacharczał przez zaciśnięte zęby. – Bogiem się klnę... Bogiem...

– Stać! – krzyknął Dreszer i zerwał się od stołu.

Wolanin wbił się wąskim ciałem między wczepionych w siebie mężczyzn.

– Stać! – powtórzył Dreszer, rozdzielając oficerów. – Spokój, to nic, nic, Jędruś. Wybacz głupcowi. Rudzki, oddaj pistolet. Spokój, spokój, panowie. To zmęczenie, tylko zmęczenie, tylko zmęczenie.

Ranguł ciężko oddychał. Wrócił do kominka. Rzekł cicho, lecz tak, że dreszcz mógł przejść po kręgosłupie:

– Kiedyś cię zabiję, Rudzki.

Pochylił się nad ogniem i nie patrząc na pozostałych, zapytał już obojętnie:

– A gdzie ten... no, jakże mu tam... Semen ze sztabu?

– Hoszowski – podpowiedział Dreszer, pilnując rzucającego się jak ryba Rudzkiego.

– Ano właśnie, Hoszowski. To gdzie on?

– Od przyjazdu nie widziałem – poinformował Wolanin.

Kapitan Ranguł z niechęcią oderwał się od ognia i prostując się, polecił:

– To go znajdź. I proś na kolację.

Wolanin wyszedł natychmiast. Już w szarą godzinę.

4

Po dwóch kwadransach wrócił, pozostawiając za sobą majdan i światła ognisk. Wrócił do wysokiego hallu, ciemnego jak studnia, rozcinającego pałac na pół. Po kilku jednak krokach, jakby czymś tknięty, zatrzymał się i rozejrzał. Wiele widać nie było. W chwilę potem wsunął się

bezszelestnie w uchylone drzwi, do wielkiej, jak reszta pałacu, opustoszałej sali, z kolumnadami po obydwu bokach, które przez symetrię i powtarzalność nadawały jej wymiar nieskończoności. Ogniska na zewnątrz oświetlały ją tajemniczym, baśniowym blaskiem. Wolanin przeszedł próg i z chłopięcym zainteresowaniem spojrzał na własny cień odbity między kolumnadami. W miarę jak mijał okna, cień znikał i pojawiał się, nienaturalnie powiększony, aż po wysoko zawieszoną antresolę, a sala zdawała się nie mieć końca.

Gdy doszedł wreszcie do jej kresu, cień zdążył pojawić się i zniknąć kilkunastokrotnie. Młodzieniec zdecydował się wrócić do drzwi i uważnie odliczyć, diabli zresztą wiedzą czemu, miejsca, w których przerwy między oknami gubią jego fantom. Zauważył wtedy, że nie ma co liczyć, gdyż cień już się nie odbija.

Na sobie samym sprawił wrażenie człowieka zakłopotanego faktem, że światło zatrzymuje się na nim, gdy jest obrócony do jego źródła prawym bokiem, kiedy zaś lewym – przesywa go na wylot.

Nic szczególnego w rzeczy samej, jednakowoż...

Chcąc sprawdzić widocznie, czy ta niejednoznaczność ma związek z jakąś połowicznością jego natury, zawrócił od drzwi do środka sali i stanął tyłem do ognisk za oknami. Cień rozrósł się, wyolbrzymiał, wyostrzył i, co zaskakujące, przybliżył. Wolanin zamachał mu dłonią. Zgodnie z prawem natury cień odpowiedział. By nie pozostawić wątpliwości, pozdrowił cień drugą ręką. Odpowiedź była identyczna. Wolanin odwrócił się teraz twarzą do ognisk. Nic nie powinno się zmienić. Ale się zmieniło. Spoglądając za siebie przez bark, nie zobaczył niczego oprócz niemej ściany.

Jakby tkwił w półzyciu, w półistnieniu, w jednostronności jakiej.

Na wszelki wypadek, jak poprzednio, pomachał sobie ręką. Ściana milczała.

– Co jest, sobacza mać? – warknął.

Odpowiedziało mu dyskretne chrząknięcie z góry.

Wolanin spojrział. W półmroku zamajaczyła krępa sylwetka Hoszowskiego, wspartego dłońmi o barierę antresoli.

– Czy to pan, poruczniku? – zapytał Wolanin.

– Nikt inny – odpowiedziano mu z góry. – Znalazłem tu odludne miejsce i bezpieczną sofę.

– Czyżbym pana obudził?

– Sen mam czujny – odrzekł Hoszowski, nie ruszając się z miejsca. – Budzi mnie w zasadzie wszystko.

– Szukam pana od dłuższego czasu – usprawiedliwił się Wolanin.

– No to nie bez powodzenia – odpowiedział porucznik, odczekawszy, aż odpłynie echo. – A w jakiej sprawie, jeżeli wolno zapytać?

– Hrabia Rangułt przysyła grzecznie prosić.

– Prosić? Czemuż to?

– Na kolację.

Porucznik Hoszowski znikł na chwilę Wolaninowi z pola widzenia. Ten cofnął się do okien, ale sam teraz w świetle zgubił wszystko, co było poza jego kręgiem. Więc i antresolę.

– Nie jestem głodny – usłyszał Wolanin głos Hoszowskiego, znacznie bliższy, ale z tej samej wysokości. – Natomiast nie ukrywam, żem zmęczony. Chce mi się spać. Jeżeli to niekonieczne...

– Obawiam się, panie poruczniku, że konieczne. Hrabia Rangułt poczułby się odmową dotknięty.

– Hrabia Rangułt? Czy dobrze słyszę?

– Otóż to, panie poruczniku.

Nim echa wybrzmiały, Hoszowski znalazł się przed

Wolaninem, jakby bezgłośnie sfrunął z antresoli, razem z przewieszoną przez ramię sakwą podróżną. Czako miał wsunięte w kieszeń kurtki, a łeb ogolony do skóry.

– Hrabia Ranguł – mruknął do siebie, idąc za szwoleżerem drobnym krokiem, a w tonie jego głosu doszukać się można było niechęci i ironii.

5

Wszystko wisiało w powietrzu. Niczego nie trzeba było prowokować. Żadnej licytacji, bo wszystko w mgnieniu oka zostało zlicytowane. Tylko zagrać.

Lęk przeciwko lękowi, zmęczenie przeciw zmęczeniu, kontuzje przeciw kontuzjom, a brud przeciw brudowi. Więc dzieliło ich nawet to, co powinno łączyć. To, co musiało dzielić – jak, nie zagłębiając się w istotę rzeczy, przyziemność i górnołotność, bezbarwność i szyk, wdzięk i toporność, pycha usprawiedliwiona i skromność demonstracyjna, wojskowość i cywilność – uczyniło ich sobie obcymi, nim zdążyli się poznać. Zresztą o czym tu mówić! Porucznika Hoszowskiego zirytowała natychmiast, jeszcze tam w polu, zuchowatość szwoleżerów, zamaszysta młodzieńczość, a szwoleżerów – jego zasadniczość.

Ta sama armia, różne światy.

I ta idiotyczna proszona kolacja. Wspaniały stół nakryty jakąś brudną szmatą. Na środku mosiężny lichtarz bez jednej świecy. Cienka polewka na cynowych miskach i zaęchłe suchary. Światło tylko od ognia w kominku. Kolacja, którą spożyć należy jak najszybciej, ukradkiem i przede wszystkim w milczeniu. A tu Rudzki się rozgadał, ni w pięć, ni w dziewięć. Bo kto to na wojnie o wojnie gada, oprócz tych, którzy nigdy jej nie zakosztowali. Ale Rudzki ją znał, wystarczyło zajrzeć mu w twarz, więc o co cho-

dzi? Wiadomo o co. Wiedział to Rudzki, kiedy zapytał Hoszowskiego o losy kampanii, i wiedział Hoszowski, gdy odrzekł, że uważa ją za niezakończoną.

– No, a Moskwa – wtrącił Dreszer, rozstając się na chwilę z kośćmi – dumna stolica carów, rzecz można, na rzut kamieniem...

– Nie zaprzeczam – Hoszowski był obojętnie grzeczny i lodowato uprzejmy.

– Odślonięta niczym kurtyzana – skojarzył Rudzki.

– Zajmiemy ją, jak da Bóg, w ciągu tygodnia, a może i prędzej – pochwalił się Dreszer.

– I pohulamy – Rudzki zerwał się z krzesła. – Już Boga w to nie mieszając.

Porucznik Hoszowski pochylał głowę nad miską z resztkami niedojedzonej polewki. Kawalerzysta w postrzępionym kitlu, usługujący oficerom, upiorna mieszanina kamerdynera, lokaja, forysia i żołnierza, uparcie tkwił za plecami Rangułta, nie odstępując go w zasadzie na krok, wpatrzony beczelnie w Hoszowskiego, jakby wiedział, co mu wolno, dokąd się może posunąć, wywyższony odpowiednio do wywyższenia tych, którym służył, on, mieszkaniec gwardyjskiego szwadronu, wobec obcego. W rzeczy samej, wobec obcego.

Gdzieś w głębi pałacu zegar wydzwonił siódmą. Za oknami zlewany deszczem mrok już zupełny.

– Rozległy to kraj – rzekł cicho Hoszowski – i zima idzie.

Rudzki mu odwrzasnął, że szwoleżerskie szable go otworzyły, szwoleżerskie konie zdeptały i krew szwoleżerska zrosiła, więc wiadomo, że rozległy.

– To wiemy – dopowiedział Dreszer.

– Lepiej niż pan, poruczniku – przygwoździł Rudzki.

Hoszowski pochylił się w bok. Lekko, ale się pochylił.

– Naprawdę?

- Co naprawdę?
- Naprawdę lepiej?

Rudzki był już odpowiednio przyprawiony. Nie mógł mu porucznik Hoszowski bliżej wyjść na drogę. Zauważył to Rangułt i uderzył kostkami palców o stół.

Rudzki zawarczał:

– Opowiadali mi w pułku... dobrze mówię, w pułku... – i urwał.

– O czym? – zapytał Hoszowski, choć ciekaw tego nie był.

– O dupkach sztabowych! I przestrzegali: unikać ich jak zarazy.

Hoszowski spojrzał w twarz kapitana Rangułta. W ogniach z kominka była trochę jak nie z tego świata. Wyostrzona przesadnie przez zmęczenie, przesunięta ku śmierci. Twarz, która dała za wygraną.

Zapytał Rudzkiego, nie przynosząc nań wzroku:

– Mam nadzieję, że nie mówi pan o mnie?

– Taką mam naturę – odparł Rudzki – że mówię o kim fantazja...

– Zamilcz, proszę – Rangułt po raz drugi uderzył kostkami palców o stół.

– Gość pyta, ja odpowiadam – usprawiedliwił się Rudzki i ponownie zerwał z krzesła.

– Powiedziałem: zamilcz! – rozkazał Rangułt.

Chciał dodać coś jeszcze, ale chwycił go nagły atak kaszlu, którego nie mógł opanować. Uciekł od stołu do okien. Kompani się zasępiłi, nawet Rudzki. Rangułt powrócił z dłonią przy ustach. Błady i spocony.

– Przepraszam, poruczniku – wyszeptał.

Rzecz się jakoś zamknęła. Oficerowie zamilkli. Rudzki wrócił na krzesło. Dreszer potoczył kości po stole. Wolańin, zobowiązany kawaleryjską solidarnością z jednej strony, z drugiej czuł się być może odpowiedzialny za Ho-

szowskiego, którego tutaj sprowadził, i posłał mu zakłopotany, panieński uśmiech. Kapitan Rangułt natomiast był daleko. To dobry moment, by podziękować za poczęstunek i wyjść. Hoszowski postanowił z tego skorzystać. Wstał, strzelił obcasami, skłonił się i ruszył ku drzwiom, niezatrzymywany przez szwoleżerów. Nawet Rudzki, wciąż niesyty awantury, doszedł do przekonania, że tu jej nie wykrzesze.

Kilka kroków dzieliło Hoszowskiego od drzwi, kiedy zablokował je patrol. Wachmistrz w towarzystwie trzech jeźdźców. Chłopy były rosłe, toteż chuderlawy, zakrwawiony, słaniający się na nogach muzyk wyglądał przy nich jak zagoniony zając wśród ogarów. Sprawa była codzienna. Żołnierze dopadli w okolicy szpiega. Próbowali go przesłuchać, lecz muzyk się nie dał. Trochę go poturbowali, ale twarda sztuka, cały czas ma się dobrze. Nie było o czym dywagować, rzecz prosta jak drut, a szwadron, jakkolwiek wyszczuplony niewiele ponad kompanię, gwardyjski. Jeżeli muzyk nie mówi, to na hak. Nie tak prosto było z winem. Przyparty do muru wachmistrz wyznał, że kiedy wreszcie udało im się rozłupać zablokowane od środka mocarne drzwi komory, obok szpiega znaleźli kilkanaście omszałych butelek wina. Nie szukali ani jednego, ani drugiego. Z drzwiami rozprawili się dla porządku. Z muzykiem wiadomo co. A z winem?

– Przynieś je tutaj, Sulga – zdecydował Rangułt, rozwierając nadzieje wachmistrza.

– Rozkaz, wasza miłość!

Patrol odmeldował się i wyszedł. Hoszowski za nim.

Rangułt zatrzymał go w drzwiach.

– Skosztujemy książęcego wina, poruczniku.

Hoszowski odrzekł, że czuje się zmęczony, śmiertelnie zmęczony, że przez ostatnie tygodnie był nieprzerwanie w drodze, że...

– Na zmęczenie – przerwał mu Ranguł tonem niedającym możliwości wyboru.

Hoszowski bardzo niechętnie przystał. Na nieszczęście Wielkiej Armii.

6

Godzinę później wyglądało tak: salon ten sam, ten sam stół i ci sami ludzie, a reszta inaczej, choć niby dla czego?

W miejsce postrzępionej szmaty, cynowej zastawy i zaścianych sucharów – słupki monet, dewocjonalia, biżuteria. Między nimi omszałe butelki wina, pitego z podręcznych kubków. Światło odnalezionych świec, ciepło od ognia w kominku, mebli już niewiele. Szwoleżerowie grali w kości ze zmiennym szczęściem. Precjoza i pieniądze wędrowały ze strony na stronę.

Hoszowski, stojąc z rękoma założonymi do tyłu, przypatrywał się nie tyle grze, toczącej się bez emocji, ot, żołnierska rozrywka dla zabicia czasu, ile przedmiotowi tej gry. Widać, że ilość pieniędzy i wartość precjozów, jaką młodzi mężczyźni przegrywali do siebie i od siebie wygrywali, budziła jego nieukrywaną zazdrość. To nie względ towarzyski kazał pozostać mu w salonie dłużej, niż wymagałaby tego sytuacja, lecz pożądanie.

Zauważyli to jeźdźcy, podając sobie luidory, dukaty, guldeny, ruble, pierścionki, bransolety z prowokującą ostentacją.

– Nie da się pan namówić, poruczniku? – zapytał od niechcienia Dreszer, pieszcząc w palcach złoty łańcuszek.

– Nie, doprawdy nie – odpowiedział Hoszowski, ujarzmiając pokusę. – Nie potrafię, nigdy nie grałem. A poza tym nie mam pieniędzy.

Wolanin zaoferował się z pożyczką, Hoszowski odrzekł, że nie mógłby oddać.

Rudzki parsknął śmiechem, bez przyczyny, ale ze skutkiem.

– W kości się również wygrywa – rzekł, jak na niego, nawet dosyć przyjaźnie.

– Nie mam szczęścia – Hoszowski poruszył się, lecz pozostał na swoim miejscu, trzy kroki od kominka, z jednym bokiem rozgrzanym, a drugim chłodnym.

Rangułt napełnił winem srebrny kubek i wychylił go jednym haustem. Spojrzał na Hoszowskiego. W stalowych oczach kapitana rozbłysły ognie rozdrażnienia. Poróżniła ich, poza wszystkim, kaźń, na jaką wyprowadzono sponiewieranego chłopca, domnianego szpiega. W kilka minut po wyjściu patrolu Hoszowski, najgrzeczniej jak potrafił, wyraził opinię, że hak, na którym zawiesznie nieszczęśnik, nie przybliży armii żadnej wiedzy o przeciwniku, gdyż chłop nie sprawia wrażenia poinformowanego o czymkolwiek. A nawet gdyby pod wpływem cierpienia zdecydował się mówić, co mu ślina na język przyniesie, to kto go zrozumie? Czy to przypadkiem nie ochłap rzucony gawiedzi, ukłon w stronę żołnierskiej braci, danina złożona z okrucieństwa w imię może i celów wyższych, ale przez fakt jej złożenia unieważnionych? Czy to nie swawola, która towarzyszy kampaniom, odkąd są one prowadzone, lecz której unikać należy, jeśli to tylko możliwe, coś, co może i wyostrza armię, ale w każdym z żołnierskich losów czyni spustoszenia niewarte tego, co się zyskało? Krótko mówiąc, porucznik Hoszowski bredził, powodowany nieopanowaną i być może, jak sądził, bezkarną chęcią dokuczenia szwoleżerom i spowodowania w nich gniewu, który nie znajdując ofiary, ugodzi ich samych. Ale też, niewykluczone, śmiertelnie zmęczony nie znalazł w sobie męstwa, by poskromić rozdrażnie-

nie. Równie zmęczony kapitan Rangułt wziął pod uwagę tę drugą możliwość, gdy cedząc słowa przez zaciśnięte zęby, dał wyraz swemu przekonaniu o nieuchronności zła, jaką niesie ze sobą każda wojna, nawet najsprawiedliwsza, najświętsza, że tak ona wygląda z pola, a nie ze sztabu, gdyby porucznik Hoszowski był łaskaw wziąć to pod uwagę.

– W takim razie napij się pan wina – rzekł Dreszer po chwili z tą swoją niezależną od okoliczności, dupiąstą, nic go niekosztującą, więc wartą nie więcej niż lubieżny uśmiech dobroduszością. – Na szczęście.

Hoszowski, nie odrywając wzroku od pieniędzy i biżuterii, zapytał z roztargnieniem:

– Wina?

– Na szczęście – powtórzył Dreszer.

– Musiałem już panom mówić – zachnął się Hoszowski. – Nie pijam wina.

– Ale tego warto spróbować – rzekł pojednawczo Wolanin. – Cudowny, kilkunastoletni burgund, nie to, co ten ocet, którym nas poją.

Hoszowski zaprzeczył ruchem głowy i sprawa utknęła. Szwoleżerowie odłożyli kości. Rudzki wychylił się z krzesła w bok, a Rangułt wstał od stołu. Dwukrotnie zbliżył się do okna i dwukrotnie od niego odszedł. Odezwał się cicho, ledwie wyprzedzając wrzask Rudzkiego, który aż spurpurowiał od ochoty.

– Panie poruczniku, niechże pan skosztuje tego wina.

Hoszowski odpowiedział, że jest na służbie. Rangułt więc zapytał, czy to oznacza przypuszczenie, że szwoleżerowie na niej nie są. Porucznik wyjaśnił, że taka sugestia nie była zamierzona.

Rangułt sięgnął po butelkę i napełnił pusty kubek Wolanina. Podsunął go Hoszowskiemu. Uniósł dłoń.

– Za pomyślność Wielkiej Armii – wyszeptał.

Hoszowski nie zareagował.

– To jest toast – Rangułt zbliżył się do porucznika na długość ramienia. Była w nim obcość, lecz nie wrogość. Szukał zgody.

– Wielka Armia, jeżeli ma zwyciężyć, uczyni to bez mojego toastu – odpowiedział zniecierpliwiony porucznik. – Jeżeli polegnie, mój toast jej nie wskrzesi.

– Polegnie? – Dreszer podniósł się wielki jak góra, uśmiechnięty, leniwy i groźny. – Czy my dobrze słyszymy, panowie?

Cisza, która jak się przeciągnie, to zabije. Na ogołoczonych z obrazów ścianach odbijały się płomienie gorejącego w kominku ognia. Rudzki, który zdążył kilkakrotnie zerwać się od stołu i usiąść z powrotem, zawrzasnął z butelką w dłoni:

– Za honor i zdrowie cesarza!

Hoszowski przypatrywał mu się przez chwilę, potem przeniósł wzrok na Rangułta, potem na pozostałych dwóch oficerów. Spięci byli wszyscy, chociaż każdy na swój sposób. Napięcie Rangułta podszyte było gorączką i nieumiejętnie bagatelizowanym cierpieniem, w wysublimowanej opozycji do niczym niezakłóconego napięcia Dreszera lub wiotkiej niefrasobliwości, z jaką spał się Wolanin, czy tego momentu, tuż przed eksplozją, w jakim znieruchomiał Rudzki. Zegar w hallu wybił trzy kwadransy na dziesiątą.

Hoszowski podziękował oficerom za kolację, rozmowę i możliwość przyjrzenia się pasjonującej grze. Nie będzie ich już absorbował swoją osobą. Nie należy do ludzi, z którymi wesoło spędza się czas. Wie o tym i chyba trochę bezmyślnie nadużył gościnności panów szwoleżerów. Zrobiło się późno, oni mają swoje sprawy, on musi się poświęcić swoim. Dlatego pożegna się teraz i wyjdzie.

– Po toście – zgodził się Rangułt.